Nr. 31 Warszawa, 3 Sierpnia 1912 roku. Rok XLVIII

PRENUMERATA W WARSZAWIE: Miesięcznie kop. 60. kwartalnie rub. 1 kop. 80, półrocznie rub. 3 kop. 60, rocznie rub. 7 kop. 20.
Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie: rocznie rub. 10, kwartalnie rub. 2 kop. 50.
CENA OGŁOSZEŃ: za wiersz 1-o szpaltowy nonparelem lub jego miejsce „za tekstem" kop. 30; ogłoszenie zwyczajne kop. 20. „Nadesłane" kop. 75, marginesy rb. 6. Kolumna rb. 150. Załączniki rb. 6 za tysiąc.
CENA NUMERU POJEDYŃCZEGO KOP. 20.

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE POŚWIĘCONE SPRAWOM KOBIECYM.
Pod redakcyą ZOFII SEIDLEROWEJ.
Ekspedycya główna: Nowy-Świat 41.
Drobnych rękopisów nie zwraca się.—Tel. Red. 105-22 Tel. Adm. 220-86.

W Cesarstwie Austryackiem: We Lwowie w głównej ekspedycyi „Bluszczu" Pasaż Hausmana 9, kwartalnie kor. 5. na prowincyi z przes. poczt. kor. 6.60.
W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartalnie kor. 5, na prowincyi z przesyłką pocztową kor. 6.60.
W W. Ks. Poznańskiem dla abonentów „Dziennika Poznańskiego": w Poznaniu kwartalnie 3.60 marek, z przesyłką pocztową 4.30 mk.

„Ostał ci się jeno sznur..."

W najżywotniejszem tempie postępu, w najintensywniejszem dążeniu do stworzenia rzeczy nowych, powinny społeczeństwa pamiętać o tej prawdzie, że zasad dawnych nie należy znosić, lecz tylko je przewartościowywać, a często zmieniać ich formę, pozostawiając właściwą treść i istotę rzeczy.

Do jednego z uczuć, pielęgnowanych dawniej z pietyzmem, z zapałem, z ofiarnością, należał kult ludzi zasłużonych, praktykowany przez starszych i wpajany w serca młodzieży.

Rzecz sama cudna. Czy można sobie wyobrazić, czy są słowa dość potężne i dość barwne na opisanie tej rwącej siły, tej słonecznej radości, które tworzą ten rodzaj uczucia: uwielbienie, hołd złożony zasłudze, bohaterstwu, ludziom, których imię jest czyn i światło, a jeszcze jeśli to są swoi ludzie.

Jeżeli takie uczucie dźwignią i radością jest dla dojrzałego, strudzonego już nieraz i zgorzkniałego życiowego pracownika, to jakimż przedziwnym wyrazem cudu brzmi w pierwszych dniach młodości, w jasnem, nowem rozpoczynaniu życia!

Pamiętamy to przecież, pamiętają ci z między nas młodych, których ominęła trafem fala pseudo pozytywizmu, którym wpojono lub pozwolono wchłonąć tradycye czci.

Pamiętamy te chwile nieopisanej radości, nieograniczonej mocy, potęgi wrażenia, gdy dusze młode, lotne, jak płomienie szły ofiarą uwielbienia i zapału do stóp wielkich duchów.

Z otchłani przedwieków wstawali bohaterowie nieśmiertelni, ze wszystkich obszarów ziemi, ze wszystkich dziejów ludzkiego czynu, promienieli żywi niemal, dotykalni, wskrzeszeni, zbliżeni siłą uczucia i byli nam swoi, jak swoi wodze i towarzysze idei.

A dla zasłużonych współczesnych, żyjących — niemniejszy święcił się kult. Jaką relikwią był uwięziony Kraszewski, z jakiemi uczuciami patrzyło się bodaj na niektóre domy, ulice...

Ale to już były, w pokoleniu wyrastającem na glebie pozytywizmu, wyjątki — szczęśliwe.

Nie tu czas i miejsce rozwodzenia się o zaletach i wadach tego kierunku, który kształcił nas przez lat dziesiątki, faktem jest jednak, że to, czego chcieli wielcy apostołowie pozytywizmu, a rezultaty, które wydał on na naszym gruncie — to dwie rzeczy zupełnie różne. Praca u podstaw, praca organiczna — te dwa jak stare monety wytarte hasła pozytywizmu, kursują u nas kulawo jak dotąd, może z powodu niezliczonych, stawianych im, niezależnych od nas przeszkód, wzmacnianie sumy bogactw społecznych przez zbogacenie jednostki, przyjęło się u robigroszów, lecz pod znakiem czysto i wyłącznie osobistym; zato, nie z pozytywizmu wprawdzie, ale w jego dobie, urodzili się nasi „ludzie podziemni", do czego on bodaj nie dążył, a z drugiej strony wytworzyła się szara, przeciętna masa osobników, mocno wprawdzie „na ziemi" stojących, ale też i liczących to sobie za całą zasługę.

Pozytywizmu naszego wadą i przekleństwem było to, że gnębił i trapił nie romantyzm i sentymentalizm jak zapowiadał — (romantyzm był tylko kierunkiem i niczem więcej), ale odwieczny, nietknięty, cudny idealizm ludzkich — polskich dusz.

Dlatego jako rezultat, mamy dziś młodzież naszą, jak płomień chwytną i palącą dla wrażeń erotycznych, i jak gąbkę temi wrażeniami nasąkłą, ale zobojętniałą przeważnie na inną sferę uczuć — na miłość poczętą z czci, z zapału, na miłość-hasło, miłość-wyznanie i miłość-ofiarę.

Bo rzecz zupełnie prosta — uczucie ludzkie musi znaleźć ujście, jeśli więc zamknąć mu pewne drogi, bije falą całą na inne, a im tych innych jest mniej i im bardziej są poziome, tem uczucie staje się więcej zbliżonem do zwykłych popędów instynktu, a niezużytą swą siłą wyrodnieje.

Jako objaw wtórny przychodzi pesymizm, melancholia, idyosynkrazya do życia. Ileż tych objawów było i jest po dziś dzień, nawet u tych którzy pracują, oddają wiele ofiar, oddają życie. Ale robią to z jakąś ogromną rozpaczą, z pesymistycznem szyderstwem, bez wiary i bez sił.

Ci ludzie to owoce lat, w których chcąc wygnać z ziemi polskiej romantyzm, wyrzucano pracowicie entuzyazm, płomienne, czynne, realne ukochanie odwiecznie wielkich celów i ich bojowników, w których pracując nad wyplenieniem sentymentalizmu, wykorzeniano uczucie.

A jedną z najpiękniejszych, najbardziej uchwytnych i ogromnie krzepiących form tego altruistycznego uczucia — umiłowania idei, jest cześć, oddana ludziom zasługi, zmarłym i żywym.

Dziś, teraz, u nas brak tego czujemy ogromny, zarówno u młodzieży, jak i u większości dorosłych z młodszego pokolenia.

Nie staramy się obcować z duchami wielkich zmarłych, (w zwykłem, nie w spirytystycznem znaczeniu), noc Wesela nie przychodzi do nas, nie umiemy wspominać i wskrzeszać.

Powiedzmy jednak, że nie wielu z nas posiada tyle mistycyzmu, ale mamy przecież żywych! Są wśród nas. Mamy twórców, jakich żaden może kraj nie posiada, z ciernistego szlaku, z potęgi bólu wyrośli, literatura całego świata niema *takich* jak nasza ludzi, czy oni poza rozgłosem nie warci miłości?

Mamy propagatorów czynu społecznego, zupełnie bajecznych, z niczego, bez grosza stwarzających instytucye, ludzi, których socyologia uważać powinna jako wynalazców genjuszy i pracowników tytanów, czy nic im się od nas nie należy prócz znajomości ich nazwisk, czasami ich prac?

Mamy uczonych tego samego typu, pracujących bez katedr, bez laboratoryów, marnie żyjących z marnych lekcyi a głośnych w nauce — o tych nie wiemy nawet najczęściej.

Mamy ideowców społeczników, płomienne, cudne dusze, jak przewodnie sztandary idących w odwiecznej walce ze złem, z podłością — czy i ci zasługują tylko na „szkiełko i oko" z partyjnych zakątków.

Mamy dzielnych a niestrudzonych wyrobników pracy mrówczej, codziennej pracy dla drugich, pilnej czujności o rozwój kultury, etyki, ludzi trwających na straży ideałów.

Mamy kobiety, które nie domagają się praw, lecz bez praw żadnych spełniają wszystkie czyny i obowiązki, podwójne często, bo i rodzinne i społeczne.

I wszyscy oni mają od nas?...

O, zajmujemy się nimi niekiedy, jak wspominano już wyżej, czytamy w pismach ich nazwiska lub utwory, wiemy czasem coś niecoś o ich pracach, oceniamy i krytykujemy nie czyn, lecz człowieka i przekonanie, chwaląc lub ganiąc wedle własnych idei, a czasem sympatyi i ambicyjek — zdarza się nawet, aby i rzeczy haniebnych nie brakło, że nicujemy stosunki osobiste, rodzinne, i przez ich pryzmat sądzimy i oceniamy, albo wprost potwarz rzucamy na charakter i dobrą wiarę człowieka czynu.

Czasem potem wyprawiamy jubileusze, na które idziemy nawet licznie, o ile są wspaniałe.

Najlepiej jednak udają nam się pogrzeby —wtedy darowujemy wspaniałomyślnie zmarłym to, czem nieraz zatruwaliśmy im życie.

Mówimy z chlubą, że ludzie wszystkich przekonań łączą się w hołdzie, etc.

Zapewne że to piękne, ale czy nie lepiej było oddać ten hołd, tak samo, żywej jeszcze istocie?

Ale nas dziś na to nie stać.

Roztrwoniliśmy nasze skarby.

Miłości wielkiej, czczącej ideę w człowieku, wdzięczności tej, co chyli czoło w uczuciu mocy, w radości posiadania dobra, w zwycięstwie ducha — nie posiadamy.

„Ostał ci się jeno sznur..."

I jest źle, bo mniejsza wreszcie, że my dorośli... jesteśmy tylko uprawą pod przyszłe lata i miniemy, zmieleni przez życie, ale tak samo rosną dzieci nasze. My je tak chowamy naszemi ideami, naszemi pojęciami o życiu je karmimy, nasze kalectwo moralne czyż ich nie upośledzi?

A jaka na to rada i czy jest jaka?

Młodość posiada wprawdzie wielką, piękną moc przemiany, cudowny jej dar, ztąd tak często widzimy dzieci zupełnie od rodziców inne, pokolenie różne od pokolenia, młodość potrafi przetwarzać, z głębin rozpoczynającego się życia dobywać siły nowe — odradzać się.

Ale dzisiejsza młodzież nie potwierdza nam dotąd przykładem tej teoryi.

Więc musimy my sami zrozumieć to zło, ten brak, jeśli nie możemy odczuć sercem, pojąć musimy naszem doświadczeniem, naszą smutną rozwagą życiową, zrozumieć i zgodzić się szukać rady, zastanawiać się, myśleć i... ratować.

Od kalectwa zobojętnienia ratować nie siebie, nie poszczególne jednostki, ale przyszłość naszą, przyszłość społeczeństwa polskiego i duszy polskiej.

Natalia Jastrzębska.

□□□□□□□□□□□

Dwie chłopskie epopeje:

„Jerozolima" Selmy Lagerlöf i „Pan Balcer w Brazylii" Konopnickiej.

(Dalszy ciąg).

Treść „Pana Balcera w Brazylii" to niestara i często powtarzająca się historya chłopskich wychodźców polskich. Siadają w Bremie na niemiecki parowiec „Kreuz", tułają się po Brazylii, wymierają, cierpią tyle, ile człowiek wycierpieć może — i po roku wracają do Polski.

Nie wszystkim wychodźcom dzieje się tak źle jak chłopom Konopnickiej, ale to pewna, że niejednym dzieje się jeszcze gorzej, bo nie każda wędrująca gromada ma wśród siebie Pana Balcera, kowala z miasteczka nadbużańskiego, człowieka o silnej pięści, silniejszej jeszcze woli, tęgiego rozumu, gorącej czynnej miłości bliźniego, wielkiego umiłowania Polski i wszystkiego co się w tem słowie mieści.

Konopnicka rozpięła płótno swoje między Oceanem a brazylijską puszczą. Przez pustynie morza, przez dziwy i strachy egzotycznej, człowiekowi wrogiej przyrody, prowadzi bezbronną, ufną gromadkę ludu polskiego. Na owo tło olbrzymie rzuca poetka szerokim rzutem obrazy zdumiewające wyrazistością rysunku, świetnością barw, grozą i wdziękiem, gołębią białością ludzkich twarzy, krwawą łuną ich męki i męczeńskiego podniesienia.

Bohaterem poematu Konopnickiej jest lud polski. Gromada, która pod dowództwem pana Balcera jedzie do Brazylii, liczy około tysiąca głów, ludzi z różnych ziem dawnej Rzeczypospolitej — od Buga po Wartę. Są Unici, Podlasianie, Kurpiowie, Mazurzy, Wielkopolanie, Kujawiacy. Psychika ich opiekuna, pana Balcera — brat jego, Balcerski, jest księdzem w Krakowie — nie przedstawia żadnych zawiłości. Słyszał on w życiu dużo, pewno czytał trochę, lubi zdawać sobie sprawę z tego, co myśli i czuje, ma ciekawość poznawania świata i ludzi — i umie ludźmi rządzić, nie z chęci władzy, lecz dla ich własnego pożytku i bezpieczeństwa. Pan Balcer jest urodzonym przywódcą. Ma wiarę w siebie i w to co robi, widzi jasno najbliższą drogę do celu, umie o sobie zapomnieć, zaprzeć się siebie dla dzieła swego. Działa dlatego, że widzi w tem odpowiednie dla siebie zadanie, wyznaczone mu i narzucone nawet, siłą okoliczności — wskazane palcem Boga. Owa jego służba, jego posłannictwo, to prowadzenie gromady ludu przez wszystkie stacye jego udręk w Brazylii i doprowadzenie wychodźców do okrętu, który ich zawiezie przed próg rodzinnego kraju.

Pan Balcer dopełnił sumiennie obowiązku. Odebrał też nagrodę swoją. Wsiadł na okręt w Bremie jako dzielny, rozumny, zacny kowal — wraca do Polski po roku tułaczki jako chorąży polskiej sprawy. A kto nawskroś ludzi przegląda, ten dojrzy, że głęboko pod kapotą kowalską ma Pan Balcer ukryty złoty krzyż, jakoby „virtuti militari". W noc skwarną, we wsi murzyńskiej położył mu ten krzyż na piersiach anioł-stróż narodu polskiego.

Za kowalem idą w przedniej straży Unici. Konopnicka i pan Balcer upodobali sobie ten lud hartowny i ziemię ich nad Bugiem, co jest „rzeką łez i męki". Większość wychodźców wyjeżdża z kraju w nadziei, że za Oceanem znajdą lepsze warunki materyalnego bytu — nazywa się dla chleba. Unici, oni jedni, szukają w Ameryce chleba duszy: wolności wiary i wyznania.

Dziatki mieć chcemy chrzczone i chowane
Po polsku. Chcemy w kościoły, w klasztory...
Suplikacyi chcemy, litanii
Do przenajświętszej panienki Maryi.

Od Narwi my są oporne od Buga,
Od Międzyrzeca, Sokołowa, Biały!...
Jako tam ziemia szeroka i długa,
Tak się krwie nasze daleko polały.
. . . . . .
. . . . . .
Przemierzyliśmy orenburskie stepy,
Powygniatali więzienne pościele
Bosonóż lodu deptali czerepy,
Trupem przybrzeżne napchalim kołbiele,
Pałki w nas biły i pletnie jak cepy
A równo w swoim wytrwalim kościele.
Więc ziemia jaka tam padnie. Byle święta
Msza ona! Byle one sakramenta!

Pan Balcer z Mazurami, Kurpiami i co mocniejszymi Pińczukami, częścią ludu podlaskiego, staruszką z nad Buga i Horodziejem poszli w puszczę, karczować lasy, zdobywać ziemię pod żyto, pszenicę i proso.

Ale puszcza nie dała się, choć walił w nią siekierą dzień i noc najtęższy chłop Mazur, choć rąbali w krzemienną odwieczną gęstwinę polskie Waligóry i Wyrwidęby w nadludzkiem naprężeniu sił, z zaciekłością sięgającą granic szału.

A chłopy trwały setnie, nic tej duszy,
Nie popuszczając głosu ni lamentu,
Chłop jak się zawziął, to prędzej ukruszy
Skałki niż jego. Ma twardość dyamentu.
A jak podźwignie raz brzemię i ruszy
Do śmiertelnego już idzie momentu...
I chyba tylko w tej drodze go strzyma
Krzywda — a inszej zapory już niema.

Jednak puszcza ich zmogła. Przyszli do przekonania, że ich oszukano i że źle i głu-

pio zrobili, rzucając swe zagrody. Postanowili rzucić wszystko i uciekać. Iść, kierując się w stronę morza, przez puszczę, przez stepy, ofiarować Bogu tę drogę — jak do Częstochowy, byle dojść. Czasem cztery, pięć dni nic nie jedli, z dużej gromady została ich tylko garstka, dzieci powymierały, szli w gorączce, czarni, wychudli, Łazarze, wpatrzeni w niebo, wyglądając z nieba ratunku. Jednak doszli.

„Chłop dostoi, choć się w nim duszne
ruszą fundamenty".

Po krwawej bitwie z murzynami w podmiejskich plantacyach kawy, przenieśli się do miasta i tam krzepił ich nabożeństwem polskiem, spowiedzią, kazaniem, młody ksiądz Błahota z Podlasia. Pod rządami pana Balcera, skarbnika gromady, pracują jakiś czas w porcie przy ładowaniu węgla, aby zarobić na powrót do kraju. Wreszcie przyjeżdża okręt, który ich za mniejszą opłatą wieźć będzie. Przyłącza się do nich do tysiąca Unitów. Ściągnęli z całej Brazylii, ponieważ z Chełmszczyzny przyjechali delegaci z wiadomością, że udręczonej ich ziemi świta nadzieja i że liczyć ich będą po guberniach. Gdzie znajdą większość unickiego obrządku, tam pozwolą na mszę polską.

Czyli ja tutaj będę opisował
Dni tych godziny i godzin momenta,
Jako nad morzem ten lud noclegował,
Patrzając w gwiazdy, czekając okręta.
. . . . . .
. . . . . .
Małomówiący był lud i ponury,
Znać przeznał złego moc, zaparł się w sobie
I milczał.

Nadeszła wreszcie chwila odjazdu. Wszyscy stoją na pokładzie, pan Balcer z nimi.

„Wtem strzał. Odhukło setnie dookoła.
Znak to, że ocean czeka już, że woła"

Tu kończy się opowiadanie Konopnickiej.

Marya Zielewiczówna.

(d. c. n.).

□□□□□□□□□□

JADWIGA MARCINOWSKA.

Jako ptak...

Dramat.

AKT I.

Scena 6.

(Pusto przez kilka chwil).

(Wbiega Zosia; Stefan z przeciwnej strony),

STEFAN

I cóż?

ZOSIA

Wygląda wesół... Trochę blady...
. . . . . .
Nie mogę dać sobie rady,
tak wiele naraz się sili...
I radość czuję i trwogę...
Wygląda wesół, ale wytęskniony...
Cieszył się, wszystkich witał dookoła;
oczyma szukał żony...
Nie mówił, ale wiem, że on jej woła!
(z wybuchem):
Ja nie chcę, aby mu znów było smutno!
ja tego nie chcę!

STEFAN

— Zośka! co ci mała?
Przecie pobladłaś jak płótno!

ZOSIA (nieledwie z krzykiem)

Niech on nie cierpi! Nigdym się nie bała
czegoś tak strasznie, jak się teraz boję
jego cierpienia!... Całe serce moje
drży! wszystko we mnie skarży się i płacze!

STEFAN

Ależ na Boga! to już nie siostrzane
uczucie!

ZOSIA

— Jakto?
(Wpatrzyła się weń wielkiemi oczyma).

STEFAN

— Głupio palec w ranę
wsadziłem! Jakże ci to wytłomaczę?
Zapomnij, mała, że mi się wyrwało!
Zapomnij, kwiatku!

ZOSIA

— Ja nie umiem nigdy
inaczej kochać jeno duszą całą!

STEFAN

No, no! nie chciałem ci uczynić krzywdy!
Głupio się rzekło, niepotrzebnie wcale...
Zapomnij!...

ZOSIA

— Coś mi... dziwno...

STEFAN

— Tss! maleńka!...
(Objął ją w pół i podźwignął; półgłosem mówi do siebie):
A no... ja także z tem się nie pochwalę.
(Wynosi Zosię z pokoju).

Scena 7.

(Weszły szybko Janina i Hanna).

JANINA

Nie męcz mnie, Hanuś!

HANNA

— Bo pragnę dla ciebie
czucia godności, słyszysz? Bądź w potrzebie
dumną... Bądź teraz dumną! Niech się stara,
niech wie, niech serce twoje znów zdobywa!
Przecież należy mu się słuszna kara!

JANINA

Hanuś! to moja rzecz.

HANNA

— Więc będziesz tkliwa?
Przebaczająca? Wszystko dobrze znów?
Przepraszam! Nie jest twoja rzecz jedynie!
Ta sama krew we mnie płynie
i burzy się, że brak poprostu słów!
Moja kochana, Karol w sposób taki
odszedł i tak się ma ta sprawa cała,
żeś na wzgardzoną żonę wyglądała!
A to są przykre znaki,
to jest upokorzenie,
to boli, Janko. We mnie wszystko wrzy
za ciebie, a ty będziesz nieskończenie
łagodna i tylko łzy?

JANINA

Ale... jeżeli kocham?...

HANNA

— Cóż? i cóż?
Upokorzenie boli, kąsa, złości!

JANINA

Widać, że nie wiesz ty nic o miłości!

HANNA (z okrzykiem)

Ja nie wiem!

JANINA (przelękniona)

— Co ci!

HANNA

— — Fraszka! jakby nóż
włożony w serce i obrócon...

JANINA

— Chryste!
Może ty także jakieś utajone
cierpienie w sobie nosisz, rzeczywiste,
wielkie? Więc przecie wniknąć w tę osłonę
powinnoby serce moje
siostrzane. .

HANNA

— Cicho! cicho!
zaraz się uspokoję!
Ja jestem tylko — bardzo zła i licho
jakieś krew we mnie ciągle burzy, wzrusza...
Bardzo zła jestem, więc nasiąkła dusza
goryczą! Widzisz? To dlatego wszędzie
przykre i smutne upatruję rzeczy!

JANINA

Czy prawda?

HANNA

— Dusza czarną nitkę przędzie
Złość jest cierpieniem, które się nie leczy...

JANINA

Powinnabym tu zgadnąć prawdę, ale
nie mogę, w bólu własnym utopiona...
Nie mogę...

HANNA

— Ja się tylko gniewem palę,
nic więcej; rzecz skończona!
Nic więcej! Z tego mam ten zamęt w sobie!
Daj spokój! lepiej słuchaj mojej rady...

JANINA

Słuchać? Ha! tak... tak... Wiesz ty, co ja zrobię?
Na jego piersi zsunę się i ślady
swoich trwóg koić będę w cudnym czarze
rozkwitających świateł. Wdzięk słodyczy
przyniosę, jasną radość mu okażę,
tęczę miłosną...

HANNA

— To! to! Niewolniczy
pokłon mu oddaj!

JANINA (z wybuchem)

— Nie rozumiesz! On
wraca w słońcu, w otusze...
Wraca, bo wiarę zdobył, w sobie żywi
pewność, że odtąd będziem już szczęśliwi!
A ja przytłumić, zgnieść, zadusić muszę
rosnący szept i ten,
którym istota moja cała tchnie:
że nie, że jednak... nie! Że nie! że nie!
(wybiega).

HANNA (za nią).

Koniec aktu I-go.

GUSTAW OLECHOWSKI.

KOSA I KAMIEŃ.

NOWELA.

— ...Bo panią kocham.

— Cóż to znów nowego?

— Nowego? Więc kobiety uważają się za istoty tak subtelne, a pani, pani tego nie zauważyła? Dla pani to jest nowiną, że panią kocham? Nie widziała pani z całego mego zachowania od pierwszej chwili naszego poznania, że panią kocham. A, to straszne!

— Zaraz, zaraz, wolno, a przypomnę sobie wszystko. Otóż, jeżeli mnie pamięć nie myli — poznaliśmy się — trzy miesiące temu.

— Trzy wieki temu, chciała pani powiedzieć.

— Kobiety nie liczą swego czasu na tak długie okresy. Wracam do tematu. W pierwszej naszej rozmowie, na raucie u mojej stryjenki już mi pan wyznał miłość.

— Bo jestem szczery, nie lubię się maskować, mówię co czuję.

— Nie zdziwiłam się wcale. Boże kochany, tyle razy już to słyszałam od tylu mężczyzn.

— Ach, przyzwyczaiła się pani! Jakież to smutne!

— Można się przyzwyczaić nawet do picia tranu; a cóż dopiero do tak miłych słów jak: kocham panią!

— I cóż dalej?

— Zaraz; zaraz, co to było potem? Aha. Na drugi dzień złożył nam pan wizytę. Był pan zimny i sztywny, uroczysty, ceremonialny,

— Cóż w tem dziwnego? Pierwszą wizytę zawsze się celebruje.

— Bardzo mi się pan wówczas podobał. Był pan dystyngowanym dżentelmenem. Ale nazajutrz...

— Przysłałem pani kwiaty.

— Tak. To było okropne. Po dwóch rozmowach z panną przysłać jej snop róż szkarłatnych importowanych po 75 kop. sztuka, bo to był marzec — panie, to przecież okropne! To jest conajmniej bardzo nietaktowne.

— Jesteśmy z dwóch różnych światów. Uważam, że to jest zupełnie naturalne.

— Nie wiedziałam doprawdy, co z tem zrobić.

— Kwiatów nie można nie przyjąć.

— To właśnie nieszczęście. Ale poco mi je pan przysłał?

— Bo panią kochałem.

— Ach, prawda. Otóż to był trzeci dzień naszej znajomości. Nieznośny dzień. Zła byłam jak teściowa. Ale czwarty dzień! Straszne, straszne, nie mogę o nim mówić.

— I ja nie mogłem wówczas mówić, dlatego to zrobił, krew mi mózg zalała.

— Pan był nieprzytomny...

— Z miłości...

— Nie wiem, dość, że darowałam panu.

— Ładny dar. Policzek, wycięty ręką, zaprawioną w tennisie.

— Wstyd mnie.

— I za co? że ustami dotknąłem szyi pani? Pocóż błysnęła mi przed oczyma? Ja nie mam w żyłach majowej deszczówki, ciepło-letniej, tylko war krwi. Siedziała pani przy fortepianie, akompaniując sobie do śpiewu. Pieśń pani zupełnie mnie rozmarzyła, pociemniało mi w oczach, tylko blask nagiej szyi pani... ech, dość, że — kocham panią.

— Otóż niechże pan zrozumie, że tym postępkiem zraził mnie pan do siebie. Pan nie zna duszy kobiecej. Panna instynktownie broni się przed napaścią, nie znosi gwałtownych ataków, szturmów; łagodnie, stopniowo, wolno trzeba ją oswajać ze sobą, z obcym dla niej mężczyzną! Musi się przyzwyczaić do niego. Wówczas dopiero może go poznać, ocenić, powiedzmy — pokochać. Pan odrazu złamał most, jaki mógł nas łączyć. Nie było odwrotu.

— Był. Pani mi łaskawie winę darowała.

— Darowałam formalnie, bo padłam ofiarą temperamentu swego i ukarałam pana doraźnie i gwałtownie i — ja jeszcze dziś przepraszam pana..,

— O, pani, przyjm tylko miłość moją.

— Ależ panie, od tego czasu upłynęło...

— Trzy wieki.

— Trzy miesiące.

— No więc co? Winę odkupiłem. Bywałem częstym gościem. Róż szkarłatnych nie przysyłałem, w szyjkę nie...

— Dość.

— Zmieniłem taktykę...

— O, to, to, to właśnie, dlatego nie mogę kochać pana. Pan zmienił taktykę. Pan wogóle miał taktykę. Pan ją obmyślał, pan się zaczął systematycznie starać o mnie, pan rozpoczął planową kampanię, jak wódz pod murami fortecy, pan mnie chciał zdobyć. Przecież wódz, zdobywający fortecę — nie kocha jej. Pan mnie nie kochał, kto kocha — ten nie może mieć żadnej taktyki, ten nie myśli, nie spekuluje.

— Tak było na początku.

— Zgoda. Można było nawet wówczas wierzyć. Ale dziś — nie.

— Ale wówczas pani również nie wierzyła.

— Nie powiedziałam tego. Może byłabym uwierzyła, gdyby nie brutalny postępek, który uniemożliwił sytuacyę.

— Więc i tak źle i tak niedobrze.

Milczenie.

— Więc pani nie chce być moją żoną?

— Ach, panie, któż w ten sposób pytania zadaje.

— Jednem słowem — jestem niezręczny.

— Dość.

— Je n'ai pas de chance.

— Może, ale w innym kierunku.

— Słucham?

Figlarny uśmiech osłodził jej twarz.

— Nie znam się na tem, ale przypuszczam, że pan byłby interesującym amantem, ale na męża — jest pan zbyt mało zrównoważonym.

— Ach, tak?

Milczenie.

— Przepraszam. Je me retire. Żegnam panią.

Podał jej rękę i wyszedł.

. . . . . .

Pan Juliusz był enfant gâté losu. Był człowiekiem dobrym, wyrozumiałym, spokojnym i nie znał zazdrości. Majątkowo uprzywilejowany — czas poświęcał podróżom i historyi. Był antykwaryuszem z zamiłowania i kolekcyonistą dzieł sztuki. Do „oryginalności" tego trzydziestoletniego pięknego światowca zaliczali ludzie jego pobożność.

U wezgłowia w jego sypialni wisiała Madonna Bronzina.

I teraz oto, wróciwszy do domu z pierwszym w życiu koszem, ukląkł i w gorących a prostych słowach dziękował Matce, że tak się stało.

Oto groziło mu niebezpieczeństwo. Mógł zostać mężem kobiety, która, gdy się jej oświadczał, wygadała się po prostu, że wolałaby go na amanta, niż na męża.

Jakież duchy dobre nim się opiekowały, dyktując mu tak mylną „taktykę" w postępowaniu z panną. Dzięki tylko tej mylnej taktyce dostał kosza.

Po dłuższem rozmyślaniu nad całą tą aferą, gdy rozejrzał się po swem pięknem mieszkaniu, gdzie w kontemplacyjnej samotności pędził życie pożyteczne, a rozumne, gdy wmyślił się w bezcenną swobodę, niezależność i bezobowiązkowość swoją, — wdział palto, nakrył głowę i udał się — do proboszcza swojej parafii. Proboszcz nie znał pana Juliusza, ani pan Juliusz proboszcza.

. . . . . .

W domku przy kościele, pod oknem, w fotelu pełnym kurzu i moli, siedział ksiądz i grał w domino z gospodynią.

— Niech no paniusia spojrzy, jakiś elegancki pan idzie do nas.

Wychyliła się paniusia w okno.

— Oczywiście do proboszcza. Ale jaki pan! To nie codzień bywa. Na probostwo to tylko biedota się schodzi, a takie hrabiowie to wolą po kabaretach, tfy, Panie Boże odpuść.

— Dzwoni. Niech no paniusia otworzy.

Po chwili wszedł pan Juliusz. Skłonił się, wręczył proboszczowi pięć rubli i prosił o odprawienie mszy dziękczynnej za to, że Juliusza ominęło niebezpieczeństwo.

Ksiądz nie pytał, co i jak, bo cóż go to obchodzi. Msza za wybawienie z niebezpieczeństwa Juliusza. Już tam Panu Bogu wiadomo.

. . . . . .

Minęły miesiące, jesień przyszła, pora mądrych refleksyi, melancholii i wezbranych uczuć, tęsknot i niewyśnionych snów. Długie wieczory, lampy blask przyćmiony, ciepło z kominka holenderskiego, cisza, czasem chlupot deszczu o szyby, czasem przeczytana powieść niepokoiły pana Juliusza.

— A jednak tkwi w człowieku jakiś niewytłomaczony, a może i bardzo łatwo się tłomaczący, instynkt gniazda. A jakież tam gniazdo, gdy człowiek sam? Niema go. Nic, tylko martwe przedmioty naokół. Piękne, to prawda, i nic nie gadające. Nic nie gadające,

ale i nic nie mówiące. Ożywiać je ciągle trzeba własnym duchem, własną imaginacyą.

Tak rozmyślał pan Juliusz i znów wyszedł na świat.

. . . . . .

— ... Dajmy na to, że wierzę panu. Niech mi pan powie jedno: czy to pana pierwsza miłość?

— Po co pani zadaje to pytanie? To najsmutniejsza chwila mojej przeszłości.

— Nie zmuszam, może pan nie odpowiedzieć.

— Skoro pani wywołała tę kwestyę — powiem. Miałem raz w życiu złudzenie, że kocham, o, ale to było takie smutne złudzenie. Teraz dopiero, kochając panią, czuję, o ile to uczucie, poważne, głębokie, jest wyższe od tamtej autosugestyi.

— Jakąż pan ma pewność, że uczucie, jakie pan ma dla mnie i o którem mi pan ciągle mówi, powtarza, aż do znudzenia, nie jest również złudzeniem?

— Tego się nie tłomaczy, to się czuje.

— Pan czuje, ale ja nie.

— Więc jak mam pani dowieść?

— Oh, panie, znam pana wszak od paru miesięcy, znam pana na wylot, obserwuję pana. Pan nie jest we mnie zakochany: — ha, ha, ha — miłość, panie Juliuszu, tak się nie objawia. Miłość, panie, to jest uczucie gorące, gwałtowne, objawia się w sposób nieomal niepoczytalny. Mężczyzna, który kocha, popełnia szereg głupstw, nietaktów, a pan jest zawsze taki korekt, taki spokojny, zrównoważony, grzeczny uprzedzająco. Kto się lubi, ten się czubi, panie Juliuszu. A pan się nigdy ze mną nawet nie pokłócił, nigdy się pan przy mnie nie rozgniewał.

— Sądzę, że to jest kwestya dobrego wychowania.

— Ach, panie, człowiek, który kocha naprawdę, nic nie wie o dobrem wychowaniu. Przyznam się panu, że raczej miałabym zaufanie do miłości człowieka, któryby mnie na balu pocałował w usta, niż tego, który żenuje się pocałować mnie nawet w rękawiczkę, jak pan, nieprzymierzając. Wybaczy pan, ale to się nazywa — ciepłe kluski.

— Dziękuję za szczerość. Zdaje mi się, że zrozumiałem. Może pani być pewna, że więcej już nic pani odemnie nie usłyszy o — miłości mojej ku pani.

— Nie wierzę w nią.

— A szkoda. Pozostaniemy tylko dobrymi znajomymi.

— Tak będzie najlepiej.

— Trudno mi teraz mówić o rzeczach obojętnych. Pani pozwoli, że sobie pójdę.

— Do widzenia.

. . . . . .

— E, to zaczyna być ciekawe — myślał pan Juliusz, wracając do domu. Tamta się oburzała na gwałtowność uczuć, tę odpycha ich spokój. Bóg świadkiem, że obydwa były szczere. Tylko w różnych porach roku. Tam była wiosna, tu jesień. Cóż dziwnego? Jak ja jednak nie znałem duszy kobiecej. Teraz mam klucz od niej. To ésprit de contradiction. Jakże ja ich nie znałem. I z taką nieznajomością rzeczy ja — głupiec — chciałem się żenić, to znaczy związywać na wieki z istotą, której nie rozumiałem zgoła. Ależ to szaleństwo! Toć ja byłem nad brzegiem przepaści! Jeszcze raz uratowany. Chwała Ci, Panie! No, ale już więcej losom szczęśliwym wyzwania nie rzucę.

. . . . . .

(d. n.).

□□□□□□□□□□

Kapliczka na wzgórzu.

(z lata).

Na wzgórzu lasek śpiewa poszumem—poświstem
Poprzez kolumny jodeł widne nizkie ściany
Ubożuchnej kapliczki, gdzie Ukrzyżowany
Chrystus—czeka na serca — z Swem Sercem ognistem.

Macierzanka pokorna— bladym ametystem
W kadzielnicę układa kwiatuszek zerwany...

. . . . . .

Od lasów,—pól dalekich, boleścią wezbrany
Płynie jęk czarnej Ziemi—hymnem uroczystym.

. . . . . .

Spoglądaj wzwyż—o duszo—cicho odchodząca.

. . . . . .

Wicher-pan—chmury rozdarł, rzucił ręką hojną
Do stóp Krzyża by deszczem—złotemi plamami,
Zerwanemi, jak kwiaty z bezkreśnych niw słońca.

. . . . . .

Przed głodem strzeż nas, Panie, przed ogniem i wojną,
Świat cały przeciw nam jest — a Ty — Panie — z nami!

. . . . . .

Bożymir.

□□□□□□□□□□

Z literatury.

Literatura współczesna Antoniego Potockiego.

„Niedbałą jest kultura nasza" skarży się Potocki u wstępu swego dzieła, o literaturze współczesnej, brak wszelkich prac źródłowych, monografii rodzajów literackich, dzieł pomocniczych, skupiających konieczne materyały słowników biograficznych, utrudnia do najwyższego stopnia napisanie u nas książki, obejmującej całokształt literatury współczesnej.

„Niedbałą jest kultura nasza" i na wszystkich mniej lub więcej ciąży to znamię gospodarki polskiej, potrzeba wprost nadludzkiego wysiłku woli, wyjątkowej mocy charakteru, aby podjąć się ogromu pracy, koniecznej do sumiennego dokonania tak szeroko zamierzonego dzieła.

Talent sam, choćby najśmielszy, nie wystarczy.

Najlepszym dowodem właśnie księga Potockiego.

„Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie" — przychodzą na myśl słowa Psalmu Krasińskiego, a jednak lekceważenie pracy, brak wytrwałości, obowiązującej uczciwego krytyka, który sam do źródeł dotrzeć winien, każdej rzeczy ocenianej, nie tylko utworów genialnych, ale wszystkich o których sąd wydaje — sprawił — że dzieło jego nie przynosi bynajmniej „świadectwa prawdy — przeciw fałszywemu świadectwu chwili", ani pozostanie w piśmiennictwie naszem księgą zasadniczą, na którą powołać się może sumienny badacz nowoczesnej literatury.

Surowo ocenia Antoni Potocki działalność krytyki polskiej, surowo choć słusznie, ale jako człowiek stojący poza zarzutami, z którymi występuje, tymczasem w samej rzeczy, nonszalancya, brak ścisłości, zdumiewa poprostu w jego książce.

Prawdą jest gorzką, że krytyka zawsze w porównaniu do bujnego rozkwitu twórczości lat ostatnich, nie rozwinęła się równomiernie, że nawet, to co w tym dziale zostało stworzone, zawdzięczamy przedewszystkiem poetom, a więc Przybyszewskiemu, Langemu, Miriamowi, lecz Potocki sprawiedliwie sądząc krytykę naszą, wydaje w pierwszym rzędzie sąd na siebie.

Książka jego, przynosząca wartości nowe, arcydziełem nie jest tylko dlatego, że jest robotą pośpieszną, niedbałą, w szczegółach mało sumienną, wreszcie dostosowaną do wymagań wydawniczych, bez poszanowania wyjątkowego talentu autora.

„Nie z kunsztmistrzowstwa, ale z mistrzowstwa powstała potęga polskiej literatury. Nie miara samych talentów u nas mierzy, ale miara sumienia" — pisze Potocki, omawiając działalność Orzeszkowej i wypowiada głęboką prawdę.

„Literatura współczesna" olśniewa talentem pisarskim, ale zarazem razi lekceważeniem elementarnej dokładności, kiedy np. spotykamy sądy o utworach, których autor wcale nie czytał (Madonna Busowidzka) „śliczny dramat", gdy jest to dłuższa nowela), o pisarzach, których zna bardzo pobieżnie jedną albo dwie powieści z lat młodych, co mu już wystarcza do skreślenia całkowitej charakterystyki.

„Niewola i samowola będą kluczem psychologii tych lat, a otworzy niem pod jałową męką duszy szlacheckich gospodarna, adamowa, na zrabowanym przez swoich i innych ugorze, praca niewielkiej gromady dusz".

Otóż do tych wybranych co niewoli i samowoli nigdy nie przyjęli, Potocki bądź co bądź nie należy, bo obie te piastunki duszy polskiej jak je sam nazywa, naznaczyły piętnem jego dzieło.

Odczuwa się oczywiście, że warunki nasze zmuszają autora do pracy pospiesznej, niemal dziennikarskiej, że nawet pisząc taką książkę, musi się liczyć z wydawcą, który pragnie jaknajwięcej wiadomości, ale że „sztu-

ka jest sumienna, sumienniejsza niż wszystkie inne manifestacye ducha, dlatego właśnie „Literatura współczesna" mimo całej świadomości umysłu autora, jest dziełem, nie wytrzymującem wysokiej miary, którą mamy prawo przykładać do najznakomitszego krytyka w Polsce.

Po prostu kto otrzymał pięć talentów, jak w owej przypowieści ewangelicznej, od tego żądamy słusznie dziesięciu.

„O Weh das du ein Engel bist"—przychodzą na myśl słowa Goethego.

Potocki to wszakże prawy syn tej „niedbałej" szlacheckiej kultury i książka jego nosi ten szlachecki charakter — jest pisana z polotem, temperamentem, bajeczną intuicyą artystyczną, zarazem barwnie i jasno — ale pozatem z możliwie najmniejszym nakładem pracy, bez starania, z pańskim gestem, nie tylko wobec drugorzędnych talentów, ale wobec wszystkiego, co się zdobywa cierpliwością. żmudnem badaniem, niewdzięcznym mozołem i wysiłkiem woli. Praktykuje się to co prawda w dziennikarstwie, że się zbyt często pisuje o książkach, których się ogląda przedewszystkiem okładkę, ale też dla tego rodzaju krytyki Potocki ma ostre wyrazy potępienia.

Czyż mu się więc godzi w książce, która ma inną wagę niż wzmianki w gazecie z całym spokojem pomieszać Walerego Łozińskiego, autora średnich powieści z Władysławem Łozińskim, historykiem miasta Lwowa, autorem znakomitej książki p. t. „Życie polskie w dawnych wiekach", jednym z najpoważniejszych badaczów naszej przeszłości.

Nie wolno również człowiekowi odpowiedzialnemu niesmacznym dowcipem zbywać pracy Maryi Rodziewiczówny, dla tego tylko, że się nie raczyło przeczytać owych pięćdziesięciu tomów, nie wolno stawiać jej działalności równorzędnie z Esteją albo Heleną Mniszchówną.

To nie jest ocena mniej lub więcej sprawiedliwa i poważna, to jest wprowadzanie w błąd publiczności.

Nie przeczę, że powieści Rodziewiczówny nasuwają mnóstwo uwag krytycznych, że nie są tworzone „sub speciae aeternitatis", ale trzeba zaznaczyć ich braki rzeczywiste, nie zaś urojone.

Rodziewiczówna, mimo wszystko co jej krytyka może zarzucić, nic niema wspólnego z literaturą buduarową, a pierwiastek erotyczny nie wiadomo dlaczego tak podkreślony przez Potockiego, gra w jej powieściach rolę bardzo drugorzędną, natomiast są w nich wartości inne, a więc przedewszystkiem umiłowanie ziemi, przywiązanie do tradycyi, współczucie z najsłabszymi, hołd dla pracy ukrytej dusz cichych a wiernych, trwających w skromnych warunkach na posterunku aż do końca.

Oczywiście wartość artystyczna tych powieści jest najczęściej żadna, jednak mają one duże znaczenie społeczne dla sfer półinteligentnych, wywierają wpływ dodatni albo ujemny, zależy jak się kto na to zapatruje, ale bądź co bądź niepośledni, a więc choćby dlatego zasługuje na krytykę poważną nie zaś na żart wątpliwy „Ave Caesar Confituri te salutant".

Wobec rozległej skali zrozumienia najróżnorodniejszych talentów u Potockiego, nasuwa się przy czytaniu takiego sądu, myśl jedna tylko, mianowicie, że czerpie on swe wiadomości z drugiej ręki, że zaledwie przeglądał, ale nie poznał rzeczy, o których pisze, że nie czytał „Szarego Prochu", ani pierwszej części „Byli i będą" ani nowel, między któremi znaleźć można kilka w samej rzeczy należących do literatury pięknej.

Takie poszukiwania zapewne są ciężką próbą cierpliwości dla umysłu o wykwintnym smaku, z trudem wśród różnokształtnych muszel daje się wyłowić perła, ale jest to już obowiązkiem fachowej uczciwości historyka literatury.

Zdziwiło mię też po części, że pisząc o Konopnickiej, zresztą z zupełną sprawiedliwością i zrozumieniem, Potocki w cieniu poniekąd pozostawił pisma jej prozą, a mianowicie nowele.

A przecież „Krysta", „Z roku 1835", „Mare Tenebrarum", to skończone arcydzieła nowelistyki polskiej, powiem nawet wszechświatowej, nie ustępujące w niczem najlepszym utworom Sienkiewicza, Prusa, Reymonta, Daudeta, nawet Maupassanta.

Dziwno się też conajmniej wydaje czytać kilka stron o Arturze Gruszeckim np., a zaledwie kilka oschłych uwag o Gawalewiczu, który jednak swego czasu w Warszawie, tak w teatrze jak i w dziennikarstwie położył pewne zasługi.

Podobne jednak przeoczenia czy pominięcia to usterki, które w drugiem wydaniu naprawić łatwo, poważniejszym błędem książki jest oczywiście układ, a mianowicie podział na okresy dziesięcioletnie.

To ustawiczne odsyłanie do przyszłego rozdziału, lub powoływanie się na poprzedni paragraf, razi zaiste czytelnika w pracy, która niema być suchym traktatem naukowym, ale „cennym nabytkiem literatury w najlepszym stylu", rozrywa uwagę i psuje poprostu wrażenie artystyczne. Określenie zaś literatury od roku 1860 do 1890 mianem „kultu zbiorowości", a ostatnich lat dwudziestu „kultem jednostki", oprócz zupełnej dowolności jest nadto ogólnikiem, do którego autor dostosowuje bardzo zręcznie całe szeregi zjawisk literackich nie koniecznie potwierdzających słuszność tego podziału.

Właściwie zresztą Potocki przyznaje małą wagę wszelkim ugrupowaniom i klasyfikacyom, utrzymując, że rozdziały literatury powinny nosić tytuły: Mickiewicz, Norwid, Heine, Shakespeare i t. d., bo każdy z ludzi genialnych tworzy swój własny odrębny świat, mimo jednak tej uwagi, tak bardzo trafnej, nie ujął materyału swego w ten swobodny ale jedynie artystyczny sposób i zamiast szeregu świetnych i głębokich studyów, w rodzaju „Contemporains" Lemaitre'a, które stałyby się w istocie wizyą pochodu dantejskiego olbrzymich indywidualności, dał nam książkę połowiczną,—jako podręcznik literatury za mało dokładną i ścisłą,—jako dzieło krytyki twórczej, której cios dłuta winien być wiecznotrwałym, nieartystyczną.

Co chwila tracimy z oczu linię, która się łamie, gubi, rozrywa... Swawola polska w wadach kompozycyi występuje najdobitniej i to nie tylko w powieściach Żeromskiego, Berenta, tylu innych, ale i tutaj, w książce Potockiego uderza wprost brak dyscypliny umysłowej czy moralnej tego, co anglicy nazywają „selfcontrol", a czego dosłownie przetłomaczyć nie można.

A teraz gdyśmy już poczynili wszystkie zastrzeżenia i autorowi za pilność i staranność dali stopień niedostateczny, przyznać musimy, że książkę czyta się z zainteresowaniem, bez wytchnienia.

Talent bowiem jest jak piękność — pociąga oczy i duszę uwodzi.

Gniewamy się na autora, że mogąc napisać dzieło wiekopomne, przy większym nakładzie pracy, zadowolił się rezultatem połowicznym, ale takich kart jak „o historycznej szkole krakowskiej", „o Trylogii Sienkiewiczowskiej", „o stosunku romantyzmu do młodej Polski", o Wyspiańskim, Żeromskim, Kasprowiczu, Kisielewskim, a szczególniej Przybyszewskim, takich kart krytyki twórczej nie spotyka się często nawet w literaturze świata.

To są oczy, które umieją patrzeć i do głębi przenikać.

To jest umysł, który pojmuje Twórcę i kocha bohatera.

Umie więc mówić o sztuce z mocą człowieka, który sam zna prawa twórczości, który sam czerpie u źródeł i odczuwa stosunek zależności, jaki istnieje między narodem a jego sztuką w danej chwili.

„Taka pieśń jaki słuchacz" — rzucił kiedyś Mickiewicz. Żeromski, Wyspiański, Kasprowicz, Przybyszewski i inni—to kość z kości, krew z krwi narodu, to „sumienie naszego *ja* życiowego".

Dostojeństwo sztuki może być tylko równomierne z godnością kapłańską.

W Polsce kto mówi poeta — artysta i twórca — mówi zarazem: wieszcz, wódz, przewodnik, męczennik i prorok.

To, co już zaczynamy powoli oglądać na wszystkich obszarach ziem polskich: owo przeobrażanie ludu polskiego w naród — dokonało się już w literaturze, spełnił się w sztuce cud zapowiadany przez Krasińskiego. Potocki podkreśla radośnie ten przełom, głosząc: „iż nadchodzi czas odnowienia klejnotu, gdy Okrzeje i Drzymały zdobędą prawa wygasających Okszów i Grzymałów".

Bije od jego dzieła ton gorący zapału, nadziei w przyszłość, ton czci i chwały, tryumfalnej pewności, że naród, który taką sztukę stworzył, jest i żadna moc nie może go wykreślić z dziejów cywilizacyi.

Potocki ma poczucie na rzeczy wieczne — dochodzi do najdalszych konsekwencyi pojmowania sztuki jako *nieśmiertelności doczesnej*.

„W sztuce — czynem — woła — jest dzieło sztuki. Swobodny rozwój twórczości jest zdobyciem pierwszego kręgu swobody.

Niech pada najprzód mur więzienia wewnętrznego.

Ten ruch spłodzi w żywych duszach, odruch innych czynów.

Kto potrafi zdobyć własną osobowość, gdy pora się zdarzy, potrafi ją obwarować i obronić od wroga z zewnątrz.

Kto nie rozumie tej niemej wymowy sztuki, tej porywającej akcyi czynu i swobody, którą jest twórczość, ten jest i będzie niewolnikiem, choćby jak trup z Upity na wszystkich rozstajach społeczeństwa obwoływał swe veto, to veto, po którem tyle razy uciekł".

A więc niech pada mur więzienia wewnętrznego.

Szukajcie najprzód Królestwa Ducha. a reszta dodaną wam będzie, bo duch aby módz żyć i rozwijać się wewnętrznie musi wytworzyć sobie warunki istnienia, bo w życiu narodu jak i w sztuce właściwie niema nic przypadkowego, a wszystko okupione winno być wysiłkiem myśli, skupieniem mocy twórczej, twardą pracą wewnętrzną.

Oto prawdy, nad któremi Potocki każe nam się głębiej zastanawiać.

„Człowiek — tylko człowiek — jak słusznie sam powiada, jest tą jedyną miarą, którą rozstrzygnie się los Polski, jak rozstrzygnie się wszelka ziemska sprawa od wschodu do zachodu istnienia jedyna.

Tem większy żal, że tak dobrze wiedząc czego nam potrzeba, jak wielką wagę przykładać należy u nas do sumienności, charakteru, prawdy, z dziwną lekkomyślnością odniósł się sam do umiłowanej sprawy twórczej i mając wszystkie dane, aby wzbogacić piśmiennictwo nasze arcydziełem, zadaniu temu nie podołał jedynie dlatego, że nie chciał pamiętać, iż do napisania księgi o literaturze współczesnej, trzeba pracy i jeszcze raz pracy „mędrca, szkiełka i oka", a nie wystarczy bynajmniej tylko „mieć serce i patrzeć w serce".

M. Iwanowska.

Hieronim Zaleski: „SYN CIEŚLI". Dramat w 3-ch aktach. Lwów. Nakład J. Maniszewskiego.

Z dziejów Chrystusa, które tyle wieków ma na ustach, trudno wydobyć nowe nuty. Zaleski ukazując przy końcu Jego postać, nie dodaje ani jednej barwy do znanego obrazu. A może nie chciał dodać, tylko pamięci swej znużonej intellektualizmem chciał przypomnieć postać, która tworzy cuda. Oś dramatu obraca się dokoła miłości Magdaleny i Jonatana, którą rozbija intryga ojca Jonatana za pośrednictwem rzymskiego namiestnika. Autor umie osiągnąć silne napięcie dramatyczne, nie brak mu talentu, ale cóż z tego — my czekamy od nowych dramatów nowych objawień.

Władysław Kozicki: „WOLNE DUCHY", dramat karnawałowy w 3-ch aktach. Lwów.

Pisarz jest stanowczo zdolny, dużo ma rozmachu, młodzieńczej brawury, dość umiejętnej konstrukcyi. Zagadnienie wolnej miłości zostało tu rozstrzygnięte negacyjnie. Są to, podług autora, igraszki, które pociągają za sobą nieszczęście kogoś, kto tych rzeczy lekko nie bierze. Sami zaś wyznawcy wolnej miłości — „wolne duchy" — gdy dojdzie do rzeczywistości, sprzeniewierzają się swym zasadom. Postacie dramatu są czasami więcej literaturą, niż życiem, np. postać lokaja Jaśka, która właśnie wymagałaby dużej obserwacyi realistycznej. Są to niedobory młodego talentu, który zawsze więcej zagłębia się w siebie, niż opanowuje zjawę zewnętrzną. Lecz talent to niewątpliwy, szumny i młody, choć niewiadomo jeszcze, na jaką miarę.

Zygmunt Kisielewski: „ŚWITY". Nakład „Społeczeństwa".

Dziwna to rzecz. że większa część utworów, która wyszła z okresu rewolucyjnego, traktuje o historyach, które dzieją się koło rewolucyi, a nie w niej samej. Jakgdyby pisarze, nie przyzwyczajeni do ruchów zbiorowych, nie umieli objąć, opanować całych ławic, całych gromad ludzkich, nie umieli wykryć prądów, które robią z wielu jednostek jednego olbrzyma. Kisielewski pisze o dwojgu ludziach, którzy wśród wypadków dziejowych przeżywają tylko własną historyę, lecz wlać się w te wypadki, wziąć w nich czynny, kształtujący udział nie zdołają. Odrodzenie duchowe przez kobietę silną i czystą jest ładnie skreślone. Powieść jest niezła pod względem technicznym, lecz autorowi brak jakiejś sprężyny, by świat zobaczyć silniej, potężniej, głębiej. Są to rzeczy do zdobycia.

Stanisława Dąbrowska: „BĄDŹ BŁOGOSŁAWIONY". Wyd. 2: Gebethner i Wolff.

Zbiorek, poświęcony Sienkiewiczowi, przypomina niejednokrotnie Żeromskiego, choćby w tym Panu Henryku z „Wawrzka", który jakby żywcem wyszedł z jakiegoś Obrzydłówka. Styl autorki jest jeszcze zamało indywidualny, jeszcze niema tej powściągliwości sentymentu, która nadaje piętno prawdziwego artyzmu. Wdzięczne to, a nie silne i ze względu na głoszone uczucia humanitarne i narodowe, oraz ładną forma, byłoby doskonałą lekturą również i dla młodzieży dorastającej.

Savitri.

□□□□□□□□□□

Liga „pani".

W wydanej rok temu książce swojej „Eve rehabilitée" ogłosiła p. Klara Galickon, znana autorka francuzka, namiętny protest przeciw ogólnie przyjętemu zwyczajowi zewnętrznego odróżniania kobiet zamężnych od niezamężnych, przez nadawanie jednym tytułu „pań", drugim — „panien".

„Dlaczego nie stosujemy tej czysto formalnej odrębności względem mężczyzn? Przecież dla nieżonatych nie mamy nazwy „damoiseau" (od damoiselle). Tytułujemy „panem" zarówno tego, co związany jest ślubem małżeńskim, jak i wolnych zupełnie. Czyż więc tylko kobiety uważać należy za rodzaj towaru, któremu nalepiamy etykietki, ady rzucał się w oczy traktującym klijentom odrazu?" — woła ze świętem oburzeniem p. Galickon.

Niegdyś tytuł „pani" był przywilejem dam wysokiego rodu. Otrzymywała go na dworze francuskim najstarsza w córek królewskich lub najbliższa tronu księżniczka krwi bez dołączania imienia własnego.

„Pod hasłem równości" — pisze p. Galickon — przywłaszczyły sobie nazwę tę później kobiety zamężne wszystkich stanów, wyłączywszy od tego niezamężne swoje siostry dla zaznaczenia doraźnej różnicy między temi, na które padł wybór pana i władcy a temi, których szczęście to nie spotkało".

Formalność powyższa stała się według autorki francuskiej — jakby bodźcem, zmuszającym panny do stanu małżeńskiego.

„Jakżeż bo chcieć zostać po za nawiasem małżeństwa, skoro tytuł „pani" sam przez się już bez względu na wartość osobnika, który go otrzymuje, budzi szacunek i wymaga pewnych przywilejów?—„Panna"— znaczy ktoś, co nie umiał wznieść się na wyższe szczeble stanowiska społecznego, a więc zmarnował życie".

Dla pozorów fałszywej ambicyi rzuca więc niejedna młoda dziewczyna wolność i swobodę panieństwa swego, żeby bez miłości, w imię najdorzeczniejszych haseł skrępować się na całe życie ślubnemi więzami.

W społeczeństwie obecnem — twierdzi p. Galickon — zniknęły wszystkie zewnętrzne wyodrębnienia stanowe. Wielkiego magnata, zarówno jak jego wyrobnika, młodzieńca i starca nazywamy jednakowo „panem". Wybitna doktorka i jej kucharka otrzymały współrzędny tytuł „pani". Nazwa „panny" zatem pozostaje tylko dla jednostek jakby niezupełnych, niedojrzałych.

„Kobieta, która nie znajduje męża, skazana jest całe życie na miano nieletniej, gdy to w rzeczywistości, wobec prawa, uznającego tylko samodzielność panien, mężatki właśnie stają się nieletniemi".

„Ta ostatnia przesłanka — pisze p. Galickon — nasuwa twierdzenie, że nazwa „panny" jako symbol niezależności, nie powinna mieć w sobie nic pomniejszającego wartość i godność kobiety". A jednak ogólne wrażenie nie uległo zmianie.

Ponieważ trudno zwalczyć przesądy, które długi czas jeszcze będą skłaniały młode dziewczęta do zamążpójścia li tylko dla uniknięcia etykietki „towaru po za obiegiem", należy dążyć do uzdrowienia związków małżeńskich od podstaw, a pierwszym warunkiem po temu jest usunięcie przed aktem zawarcia ich wszelkich fałszywych pobudek.

Rozciągnięcie tytułu „pani" na ogół kobiet od chwili urodzenia stanowiłoby — zdaniem p. Galickon — ważny krok naprzód w sprawie równouprawnienia obu płci i wyzwolenia dziewcząt od wstępowania w związki małżeńskie pod naciskiem opinii.

Protestem swoim poruszyła p. Gal. całą prasę francuzką. Paryski organ równouprawnienia kobiet „La Française", ogłosił wywiady, mające na celu zbadanie opinii co do zniesienia tytułu „panna". Wynikiem ankiety było utworzenie we Francyi t. zw. „Ligi pani" (Ligue de Madame).

Oddziaływanie autorki „Ewy zrehabilitowanej" przesunęło się obecnie nawet po za granice Francyi. W Wiedniu (Universitätsstrasse 9), pod przewodnictwem polki, baronowej Rosenwerth, gorącej popleczniczki idei równouprawnienia kobiet, powstała również „Liga pani", żądając od członków swoich,

aby nie używali wyrazu „panna" dla wyróżnienia mężatek i zostawili nazwę tę tylko młodym dziewczętom i podlotkom.

Jak widzimy, Liga niemiecka jest mniej wymagająca od francuskiej, p. Galickon bowiem dąży do usunięcia wyrazu „panna" zupełnie ze słowników każdego cywilizowanego języka.

Pragnie ona stworzyć jedną wielką międzynarodową Ligę walki ze słowem „panna".

Czy jej się to uda? I co w takim razie poczną narody, jak nasz, gdzie zwyczaj powszechny wprowadził nawet odrębne końcówki dla panien i mężatek (np. Sapieżyna—Sapieżanka, Orwiczowa—Orwiczówna i t. p.).

Srogi bój musiałby być podjęty nietylko z regułą zwyczaju powszechnego, ale — i przedewszystkiem — z podwójnem prawem języka, co równałoby się wymierzeniu cięciwy w jedną z najdrażliwszych form zewnętrznych ducha narodowego.

C. W.

□□□□□□□□□□

Historya 12-toletniego dziennikarza.

(RIBAS).

W New-Yorku mieszka bogata rodzina, francuskiego pochodzenia, oddawna w Ameryce osiadła. Syn tej rodziny Tello Apery, od dzieciństwa uczuwał żywą litość dla biednych malców, które w łachmanach, głodne, bose, bezdomne często, spotykał na ulicach w pobliżu jasnego i wygodnego mieszkania swych rodziców.

Miał zaledwie siedm lat, kiedy w dzień zimowy, chłodny i wietrzny, wrócił do domu z przechadzki, bez futra.

Zapytany o to przez matkę, odpowiedział z prostotą.

— Dałem moje futro koledze, który niema ciepłego ubrania.

Innego razu sprowadził do swego pokoju dwóch bosych malców, których odmrożone nożyny obudziły jego litość.

Niestety! było to pod koniec miesiąca i pensya rodzicielska, którą otrzymywał była wyczerpana, a w garderobie malca znalazła się też tylko jedna para bucików, które mógł ofiarować jednemu z biedaków.

Drugi tym razem nic od Tella nie dostał i zawiedziony w swych nadziejach, rozpłakał się żałośnie. Ta scena, tak poruszyła współczujące serce Tella, że w przypływie męskiej energii, postanowił sobie postarać się czemprędzej o zdobycie środków materyalnych, aby odtąd nigdy już żaden potrzebujący nie doznawał od niego odmowy.

Ta obietnica zaważyła nad całym życiem chłopca-społecznika.

A teraz posłuchajcie czytelnicy, w jaki sposób została ona przez niego zrealizowana.

Znając nieźle rysunek i początki malarstwa, a mając wiele wrodzonego galijskiej rasie wytwornego smaku, Tello, z pomocą jednego z przyjaciół, wtajemniczonego w jego zamiary, zabrał się do wykonania rysunków, obrazków drobnych robótek z zakresu sztuki stosowanej i następnie rozprzedał je pomiędzy bogatymi znajomymi swych rodziców, przeznaczając dochód ze sprzedaży tych przedmiotów na korzyść potrzebujących wsparcia biednych dzieci.

Z pomocą pewnej części tego kapitału, obrotny malec zorganizował wkrótce potem prawdziwy bazar, zapełniony zabawkami, obrazkami i drobiazgami ozdobnemi, które przed Bożem Narodzeniem zostały chętnie rozkupione przez rodziców zamożnych dla ich dzieci.

Nad bazarem Tella wisiał gustowny szyld z napisem:

„Obrazy do sprzedania. Tello i Albert, artyści".

Z dochodu, jaki na czysto przyniósł bazar 20 dzieci biednych otrzymało solidną pomoc.

Od tego czasu Tello coraz rzadziej odmawiał pomocy małym biedakom, którzy poznawszy serdecznego jałmużnika, ciągnęli do niego zewsząd z prośbą o pomoc i radę.

Następnych lat Tello urządzał na coraz większą skalę drzewka na Boże Narodzenie i rozdawał oprócz zabawek obuwie, ciepłą zupę i chleb. W ten sposób zawiązało się „Tow. bosych nóżek".

Tow. to, coraz lepiej się rozwijało i wkrótce przybrało taki zakres, że aby podołać mu, Tello przyszedł do przekonania, że bazary i wenty nie mogą pokryć rosnących wydatków.

Tello, jak przystało na Amerykanina, nie uląkł się jednak rozwoju swego dzieła, postanowił mierzyć „siły na zamiary" i rozejrzawszy się w sytuacyi, postanowił stworzyć pismo dla dzieci bogatych, mniemając, że z dochodów, jakie ono przyniesie, będzie mógł wspomagać biedne dzieci.

Rodzice oświadczyli mu, że w razie niepowodzenia, mogą mu przyjść z pomocą, ale pierwszy rok wymagają, aby Tello prowadził pismo własnemi siłami, nie licząc na ich subwencyę.

Chłopiec przyjął ten twardy warunek i z zarobionych, oraz oszczędzonych pieniędzy własnych, zaczął wydawać pismo, któremu nadał pociągającą nazwę „Słonecznej godziny".

Pojawienie się tego niezwykłego pisma, poprzedził mały wydawca-redaktor odezwą, zapowiadającą dziecięcemu światkowi pojawienie się pisma dla nich przeznaczonego.

Pierwszy numer „Słonecznej godziny" zawierał 8 stronic tekstu, pojawił się w skromniutkiej, jak na stosunki amerykańskie ilości 1000 egzemplarzy i po pokryciu kosztów, przyniósł Tellowi czystego zysku 6 dolarów 25 centów.

Następny numer zawierał już 12 stronic tekstu i odbity został w pokaźnej ilości 10,000 egzemplarzy.

W następnym roku „Godzina słoneczna" doszła do 16 stronic tekstu ozdobionego rycinami.

Zdobiła ją ta sama zawsze winieta naczelna, przedstawiająca ową pamiętną godzinę pogodnego dnia zimowego, w czasie której Tello jednego z biednych chłopców bosych obuł w buciki, a drugiego mimowoli pobudził do gorzkich łez.

Zapewne chcielibyście wiedzieć czytelnicy, co za treść mieściła się na 16-tu kartkach „Słonecznej godziny".

Były tam nowelle, poematy, podróże, opisy gier i wycieczek.

Tello Apery, mimo całej swej genialności nie był w stanie podołać takiemu wydawnictwu.

To też od początku umiał swojem pismem zainteresować literatów i wybitnych dziennikarzy, którzy bywali w domu jego rodziców, a ci' ujęci energią i entuzyazmem małego społecznika, chętnie udzielali mu fachowych rad i wskazówek.

Gdy z kolei powodzenie stało się udziałem Tella, młodziutki redaktor zwrócił się do licznego zastępu pisarzy amerykańskich, prosząc ich o artykuły dla swego pisma.

Wielka ilość ludzi pióra, odpowiedziała współpracą dla „Słonecznej godziny", na gorące wezwanie 12-letniego kolegi.

A Tello ośmielony powodzeniem, zwracał się w następstwie z tą samą prośbą do znakomitych autorów całego świata. W ten sposób, Francis Coppée, Sully Prudhomme i inni, stali się współpracownikami jego pisma.

Dochody, jakie w pierwszym roku przyniosła „Słoneczna godzina", pozwoliły przyjść z pomocą znacznej liczbie biednych dzieci i Tello mógł rozdać 208 par bucików nowych na Gwiazdkę. W następnym 1890 r. rozdał ich już 2 tysiące. A „Drzewko" było ustawione w olbrzymiej sali, w której rozdawano ubranie, ciepłe okrycia i koszule flanelowe biednej dziatwie, która się tam zgłosiła.

Każde dziecko dostało zabawkę i torbę papierową z jedzeniem i owocami.

W ciągu następnych trzech lat, powodzenie „Słonecznej Godziny" pozwoliło jej małemu, lecz dzielnemu wydawcy uczynić wielu szczęśliwych, a wreszcie umożliwiło mu zrealizować nowy pomysł, który się zrodził w jego współczującem niedoli bliźnich sercu.

Oto w r. 1892 Tello pomieścił w swem piśmie odezwę, w której nawoływał do składek na utwierdzenie dzieła miłosierdzia, które od lat 5-iu prowadził przy bardzo małych środkach.

Słowa młodego przyjaciela nieszczęśliwych dzieci, nie przebrzmiały bez echa; w kilka miesięcy po ich ogłoszeniu, Tello rozporządzał już sumą 4000 dolarów.

Pierwszego stycznia 1893 r. w szesnastą rocznicę urodzin Tella, został otworzony klub „Bosych Nóżek" przy ulicy 24-ej pod Nr. 59 w New-Yorku. A ta fundacya, powstała dzięki inicyatywie młodzieniaszka, jest uważana dzisiaj zarówno w New-Yorku, jak i w 17 innych Stanach Zjednoczonych, gdzie posiada swe oddziały, jako jedne z najpopularniejszych, najużyteczniejszych i doskonale funkcyonujących instytucyi.

Na parterze klubu w New-Yorku są pomieszczone pracownie do czyszczenia i naprawiania ubrań i do reparowania obuwia.

Olbrzymich rozmiarów sala, służąca za rozmównicę, mieści poukładane w porządku rzeczy, które mają być rozdane potrzebującym. Jest też biblioteka dobrze zaopatrzona, czytelnia i sala do zabaw i gier.

Podług wzoru zapoczątkowanego przez Tella, podobne kluby zawiązują się w wszystkich większych miastach świata całego.

Istnieją już podobne instytucye w Paryżu, Londynie i Atenach.

Czyż to wszystko nie jest cudowne jak legenda? A przykład tego dziecka, które czynem, tchnącym wielką odwagą i wytrwałością dowiodło, że jest mężem, czyż nie wywoła rumieńca wstydu na twarze tych mężczyzn, którzy przy zetknięciu z życiem okazują się... dziećmi.

Przełożyła

St. Poraj.

Głosy czytelników.

W sprawie egzaminów szkolnych.

I.

Nowe szkoły polskie i nowe programy nauk w ostatnich czasach, zwiększyły ruch na polu pedagogicznem. Stały się też one początkiem rozmaitych reform w szkolnictwie i dlatego pragnęlibyśmy wypowiedzieć słów kilka w niewyczerpanej dotąd kwestyi egzaminów.

Przed kilkunastu laty społeczeństwo nasze powitało, jako nowość nader pożądaną— uwalnianie od egzaminów przedwakacyjnych uczniów posiadających dobre stopnie z odpowiedzi rocznych. Trudno się temu dziwić. Najpierw dzieciom przybywało kilka tygodni wakacyi, powtóre, i na to kładziono nacisk główny, unikano przeciążenia i zdenerwowania poprzedzającego egzamina.

Istotnie! dzieci, przeciążone już nauką całoroczną, nieraz tak niedosypiają, bledną i mizernieją podczas egzaminów, że cały okres wakacyjny niezawsze wystarcza, aby im siły przywrócić.

Z jakiegoż powodu egzamin jest rzeczą tak straszną? A przedewszystkiem: cóż to jest egzamin?

Jestto sprawozdanie, obrachunek. Za pomocą pytań z całego przebytego kursu, nauczyciele sprawdzają, czy uczeń umie istotnie to, czego się uczył w ciągu roku i zależnie od tego przenoszą go do wyższej klasy, lub zatrzymują w poprzedniej.

Z jakiego względu miałoby to być rzeczą straszną?

Czyż strasznem jest dla uczciwego kasyera sprawdzenie zawartości kasy? dla uczciwego rządcy sprawdzenie bilansu gospodarstwa? Czyż straszną jest dla uczciwego człowieka rewizya powierzonego mu księgozbioru, sklepu, składu?

Bynajmniej! straszne to byłoby tylko wówczas, gdyby wiedział, że w kasie, księgozbiorze, lub składzie, nie znajdują się rzeczy, które znaleźć się w nich powinny, naówczas bowiem byłoby to wyraźnem świadectwem jego nieuczciwości lub niedbalstwa w wypełnianiu obowiązkowej pracy. Ale czyż świadczyłoby to przeciw potrzebie sprawdzania zawartości kasy, lub księgi z rachunkami? Chyba przeciwnie! Niesumienny kasyer byłby oddalony, a na przyszłość rachunki robionoby tem staranniej.

Przy egzaminach w podobny sposób sprawdzamy, czy w głowie dziecka znajdują się wiadomości, któreśmy w niej złożyli. Ale ponieważ deficyt bywa bardzo częstym, dużo dzieci się obcina, inne zaś dobre „zdanie" okupują nakładem przeciążających wysiłków, więc powstajemy przeciw egzaminom, przeciw sprawdzaniu wyników podjętej pracy.

Jakimiż jesteśmy mistrzami w oszukiwaniu samych siebie! Zamiast usiłować znieść chorobę, my usuwamy sobie z przed oczu jedynie ten najważniejszy symptomat, któremu zawdzięczamy jej odkrycie.

Nie egzamina są rzeczą złą, ale złym jest nasz sposób nauczania, a prawdziwą męką, jaką stanowi dla ucznia egzamin, jest na to dowodem tak wymownym, tak jaskrawym, że trudno w istocie pojąć nasz brak logiki, iż nie jest to dotąd ogólnie wiadomą i uznaną prawdą.

Bierzemy się na nowość, gonimy za nią jak dzieci, w bezkrytycznem przekonaniu, że każda nowość jest postępem. I w ten sposób na rozmaitych polach popełniamy rozmaite niedorzeczności, a następne pokolenie, reagując przeciwko nim, znów dochodzi do krańcowości, znowu w odmienne nonsensy popada.

Zniesienie egzaminów było nowością, to też przyjęliśmy ją z zapałem, a owcze naśladownictwo tak wśród ludzi rozpowszechnione, zapewniło tej wielkiej niedorzeczności czasowe powodzenie. Ostatecznie ma ona tę dobrą stronę, że przy fatalnym sposobie nauczania stanowi przynajmniej ulgę.

Egzamin nie jest złem, ale jest wymownem świadectwem, że, pomimo wszelkich wprowadzanych doń reform, sposób naszego nauczania jest zły. Zły, bo uczymy za wiele, a za mało dokładnie.

Wyniki tej metody można stwierdzać u osób, które „kończą edukacyę". Wynikiem tym jest zazwyczaj najpierw niedokrwistość i ogólne wycieńczenie, a czasem zupełne zmarnowanie zdrowia, powtóre pewne ogólne rozwinięcie umysłu, obok pamięci słabo wyćwiczonej i zaopatrzonej w wiadomości dziwnie bezładne i zupełnie przypadkowe, gdzie ważne podstawowe rzeczy giną wśród masy niepotrzebnych drobiazgów.

Powtarzamy teraz wciąż, że umysł trzeba rozwijać, raczej niż napełniać. Naprawdę jednak umysł dla swego rozwoju musi, jak ogień aby płonął, mieć jakieś paliwo w nabytych wiadomościach, jakiś materyał, z którego ciągnie soki do swego rozwoju. Obserwacya nie wystarcza, jak drzewu nie wystarcza ciągnienie pokarmu z powietrza za pomocą listków. Potrzebuje ono nadto zagłębić korzenie w gruncie, jakim dla ludzkiego umysłu jest owoc badania i myśli poprzednich pokoleń zawarty w nauce. Jednakże ilość tych wiadomości powinna mieć granice, bo ma je i umysł ludzki, a zwłaszcza dziecięcy. Może też, podobnie jak naczynie wodą, być wypełniony tylko do pewnego stopnia. Ale my, nie zważając na to, pod pozorem rozwijania, przepełniamy go tak nadmiernie, tak przytem nie dbając o zatrzymanie w nim czegokolwiek na stałe, że umysł poczuciem instynktownej samoobrony wytwarza sobie rozmaite ujścia, aż w końcu, stając się podobnym do sita, nie zatrzymuje i tego nawet, co mógłby i powinien.

Policzmy: uczeń ma tygodniowo dwadzieścia kilka godzin wykładu, dla okrągłości liczmy 20; odtrąćmy na wakacye letnie 8 tygodni, na Boże Narodzenie i Wielkanoc po 2, pozostanie około 40 tygodni, czyli 40×20=800 godzin wykładu. Wykład ów upamiętnia kilkanaście podręczników, zawierających czasem do kilkuset stron, t. j. ogółem stron najmniej 1000, czasem 2 lub 3 tysiące.

Przy końcu roku szkolnego ciało pedagogiczne wymaga, żeby uczeń miał w głowie te 800 godzin wykładu, albo te tysiąc i więcej stronic. Egzaminatorzy sprawdzają, czy je posiada, a dla lepszego stwierdzenia czy istotnie wszystko zapamiętał, pytają raczej o szczegóły podrzędne, niż najważniejsze, bo przy powtarzaniu uczeń odważył się raczej pominąć pierwsze niż drugie.

Jakim sposobem główka dziecięca, a nawet głowa młodzieńca może pomieścić to wszystko? Prosta rzecz, że nie może, i dla tego o zdaniu egzaminu decyduje najczęściej traf: nauczyciel nie jest w stanie pytać o cały kurs, więc wszystko zależy od tego, czy zada pytanie, które uczeń umie, czy przeciwnie.

Kosztem nadmiernej pracy i wysiłków; uczniowie wyjątkowo zdolni, mogą czasem przygotować się dobrze, ale i oni nie są w stanie i nawet nie starają się zapamiętać wszystkiego na stałe, powtarzają tylko, aby zwyciężyć w karkołomnej sztuce zdania egzaminu.

Lekarstwo na to byłoby tylko jedno.

Należałoby bardzo starannie wyeliminować z kursu każdego roku szkolnego to, co uczeń koniecznie zapamiętać musi, — co mu jest niezbędne nietylko przy dalszej nauce, ale i wogóle w dalszem życiu, boć nauka szkolna nie jest abstrakcyjnem poszukiwaniem prawdy uczonego badacza, ma ona cel utylitarny, ściśle określony: dać wiadomości podstawowe z każdej rzeczy w celu ułatwienia następnie życia samodzielnego i wyboru przyszłej specyalności.

Wyeliminowane w ten sposób wiadomości, ze wszystkich przedmiotów razem wziętych, wyniosą rocznie stron kilkadziesiąt, najwyżej sto.

Zawartość tych kilkudziesięciu stron powinna w wykładach powtarzać się ciągle, powinna nadto utworzyć podręcznik, jedyny, z którego umiejętności uczeń będzie egzaminowany.

Wtedy można będzie istotnie wymagać, aby uczeń zapamiętał ten podręcznik, aby go umiał „jak pacierz". I niech nas to porównanie nie przeraża: uczyć się na pamięć, nie znaczy wcale uczyć się nie rozumiejąc, przeciwnie, przy dobrze prowadzonej nauce dobre pamiętanie kojarzy się zazwyczaj z dobrem rozumieniem. Osławione kucie jest rzeczą straszną gdy chodzi o stron kilkanaście, lub kilkadziesiąt, ale przyswoić sobie doskonale zawartość pół lub trzeciej części strony dziennie, to tylko gimnastyka pamięciowa, przydająca umysłowi sprężystość i siły.

Nie wyklucza to bynajmniej obszerniejszego wykładu, a nawet niektórych obszerniejszych podręczników, mających na celu nie nauczenie dziecka, ale obznajmienie go z bardziej szczegółowemi i drobiazgowemi wiadomościami. Ale korzystanie z tych wykładów i książek, powinno zależeć zupełnie od osobistych zdolności każdego ucznia. Pojemność umysłu jest bardzo rozmaita; jedne więc dzieci zapamiętają więcej, drugie mniej, jak faktycznie dzieje się i teraz. Ponieważ jednak mała tylko ilość rzeczy koniecznych wymagana będzie od każdego, a wyuczenie się ich nie pociągnie za sobą zbytnich wysiłków, każdy więc uczeń będzie mógł z całą łatwością przygotować się do egzaminu i zdać go sumiennie.

(D. n.) *Dr. Ebrem.*

Ze Stow. umysłowo-pracujących polek.

Dobrze jest czasami w fali aktualności przerzucić się w przeszłość, a uderzywszy w spiżowe drzwi świątyni pamiątek posłuchać, jak nam oddzwaniają echa minionych wieków.

Dobrze to — wtedy zwłaszcza, gdy wrzawa dnia nie przynosi nam rapsodów rycerskich, krzepiących ducha, ale ogłuszający zgiełk drobnych i większych rozdźwięków, składających się na jedno męczące utrapienie. Bodaj na chwilę uciec od teraźniejszości, zapomnieć o gnębiącem dzisiaj!

Taki to nastrój wyraził się w programie odczytów ostatniego kwartału w Stowarzyszeniu. Mówiono o przeszłości, wszystkie odczyty miały związek z historyą.

Pani Ewelina Badowska przypomniała nam, żeśmy mieli „Króla filozofa i dobroczyńcę" — Stanisława Leszczyńskiego, i musieliśmy zgodzić się na jej zdanie, że postać ta nie była należycie przez potomnych oceniona. Kojarzyła się w nim gorąca miłość ojczyzny z jasnością myśli, której czujność dostrzegała w porę stromą pochyłość, groźną dla Rzeczpospolitej. Kojarzyła się w nim hojność dłoni z dziwnem na owe czasy odczuciem potrzeb społecznych. I można doprawdy z goryczą myśleć o tym fataliźmie dziejowym, który nie pozwolił takiej jednostce rozwinąć swej działalności w kraju i dla kraju. Ten, co wskazał tak doskonałe projekty reform dla uzdrowienia Polski w „Głosie wolnym, wolność ubezpieczającym" nie był wolnym, a zmuszony do tułaczego życia, na obczyźnie hojną dłonią siał te ziarna dobra, których nie danem mu było spożytkować dla rozwoju własnego kraju. A dobrodziejstwa te były nad wyraz szczodre i umiejętną społeczną myślą kierowane. Czegóż bo nie było w kilkudziesięciu fundacyach księcia Lotaryńskiego? Bezpłatne szkoły, biblioteki, fundacye naukowe i dobroczynne, izby porad, a nawet instytucye opieki nad rozwojem rękodzieł i handlu.

Z wielkim pietyzmem uwydatniła prelegentka wszystkie zalety tego niepospolitego męża, któremu losy nie dozwoliły zostać tem, do czego był uzdolniony, t. j. wielkim monarchą swego kraju. Pomimo pozorów złotej wolności już wtedy nie mieliśmy władzy opanowania okoliczności zewnętrznych, a uwikłani w sieci intryg i walk stronniczych, mogąc wybrać dobrze — wybieraliśmy źle.

MĄCZKA MLECZNA „BÉBÉ". PRZYGOTOWANA Z CZYSTEGO MLEKA ALPEJSKIEGO, JEST WYBORNYM, NIEDAJĄCYM SIĘ ZASTĄPIĆ POKARMEM DLA SSAWCÓW I DZIECI.

Dostać można w Aptekach i Składach materjałów aptecznych.

SKŁAD GŁÓWNY
Tow. Akc. „Fr. Karpiński w Warszawie"
Elektoralna 35. Telef. 600.

O sto lat naprzód przerzuciliśmy się w reminiscencyach dziejowych — słuchając wykładu prof. Koryckiego „o Kołłątaju". Był to również portret historyczny, ale rozważany w świetle bardzo gruntownej analizy psychologicznej. Powód do takiej szczegółowej analizy dają, jak wiadomo, bardzo rozbieżne opinie co do charakteru tego męża, w którego życiorysie znajduje się kilka epizodów dotąd niedostatecznie objaśnionych. Komentarze do tych momentów zebrał i objaśnił szczegółowo nasz prelegent, a obszerne studyum na ten temat pomieszczone było w r. b. na łamach naszego pisma.

Pani Jadwiga Elzenberg-Zlasnowska czytała swój dramat na tle życia Juliusza Słowackiego osnuty.

Odczytem o „Złotym Potoku" zakończyła sezon p. Ewa Zachertówna. Było to studyum krajoznawczo-historyczne, z cyklu „Naszych zamków", który p. Zachertówna od kilku lat bardzo gruntownie opracowuje. W żywy i barwny obraz ujęła prelegentka opis malowniczej okolicy, jej starych zabytków i pamiątek, zwalisk i legend z niemi związanych. Liczne szczegóły monografii z historyczną ścisłością wydobyte, zapoznały słuchaczy z dziejami ego pięknego zakątka kraju, który wiąże się z pamięcią drogiego nam wieszcza Zygmunta Krasińskiego. Złoty Potok w połowie przeszłego stulecia przeszedł w posiadanie rodziny jego, Zygmunt często tu przebywał, a w miejscowym kościele pochowaną jest ukochana jego córka, sześcioletnia Eliza.

Wszystkie odczyty licznych miały słuchaczów, a prelegenci gorąco byli oklaskiwani.

Z. B.

□□□□□□□□□□

Amerykanki o wystawie w Pradze.

Niezmiernie ciekawe jest stanowisko kobiet amerykańskich względem wystawy prac kobiet polskich w Pradze czeskiej.

Oto co pisze p. Ida Husted Harper, znana działaczka amerykańska, do redakcyi pisma „Jus Suffragii", wychodzącego obecnie w Paryżu:

„Interesujemy się żywo wystawą, urządzoną przez Polki w Pradze czeskiej pragnęłybyśmy niezmiernie (list ten pisany był w pierwszych dniach maja), aby wystawa odbyła się raczej w roku przyszłym, dla polek byłoby to zapewne milsze, a my skorzystałybyśmy z okazyi, aby połączyć dwie wizyty w Pradze i Peszcie na kongresie".

Znają w Ameryce nasze stosunki. Lepiej pono nieraz niż my sami.

N. J.

□□□□□□□□□□

Ruch kobiecy zagranicą.

W Wrocławiu na skutek propozycyi miejscowych organizacyi kobiecych, magistrat postanowił urządzić wykłady dla panien, kończących szkoły i pensye. Wykłady te, prowadzone przez dwie lekarki szkolne obejmują: 1) budowę ciała kobiecego i funkcye jego najważniejszych organów, hygienę czystości i zwykłe, lekkie zaburzenia w organiźmie kobiecym, 3) reguły hygieny kobiety w stadyum jej rozwoju i dojrzałości, 4) urządzenie racyonalnej wstrzemięźliwości i czystości życia obu płci, ich obowiązki względem przyszłej rodziny, oraz niebezpieczeństwa przyszłego rozwoju erotycznego, 5) główne zasady pielęgnowania niemowląt i dzieci.

N. J.

Treść numeru:

„Ostał ci się jeno sznur...", przez Natalię Jastrzębską. — Dwie chłopskie epopeje, przez M. Zielewiczównę. — Jako ptak... dramat, przez Jadwigę Marcinowską. — Kosa i kamień, nowela, przez Gustawa Olechowskiego. — Kapliczka na wzgórzu, wiersz, przez Bożymira. — Z literatury, przez M. Iwanowską i Savitri. — Liga „pani", przez C. W. — Historya 12-letniego dziennikarza, przez St. Poraja. — Głosy czytelników: W sprawie egzaminów szkolnych, przez Dr. Ebrem. — Ze Stow. umysłowo-pracujących polek, przez Z. B. — Amerykanki o wystawie w Pradze, przez N. J. — Ruch kobiecy za granicą, przez N. J. — Ogłoszenia.

Do niniejszego numeru dołącza się:

1) Dodatek mód.
2) Dodatek powieściowy „Granice serca" powieść W. Margueritte, ark. 11.
3) Tablicę krojów i wzorów robót.

Dwa pierwsze tomy wydawnictwa „Bluszczu": powieść Jerwicza „Wira Horecka" i „Szkice Teozoficzne" w opracowaniu Józefa Relidzyńskiego wyszły już w druku. Nabywcy zamiejscowi proszeni są o dołączanie 25 kop. na przesyłkę pocztową za każdy tom.

Ogłoszenia.

E. Gessnera APTEKA w WARSZKWIE 27 JEROZOLIMSKA 27 POLECA w cierpieniach płuc, skrofułach, angielskiej chorobie, wycieńczeniu u dzieci, chronicznych zapaleniach oskrzeli i t. p. — — — TRANOWĄ **Emulsyę**

D-r. Bogusławski przyjmuje wyłącznie z chorobami kobiecemi od 4 do 6 ul. pol. Żórawia 33 tel. 243-56. Warszawa, Ordynacka 12.

ZAPOBIEDZ CHOROBOM

dzieci może każda matka, krzepiąc organizm dziecka racyonalnem odżywianiem.

Powagi medyczne orzekły, że

MĄCZKA MLECZNA NESTLÉ'a

wpływa zbawiennie na pomyślny rozwój organizmu dziecka.

Infantin „Motor"

Znakomity środek odżywczy dla dzieci, rekonwalescentów i osób osłabionych, zawierający alkalizowany ekstrakt słodowy. Słoik po Rb. 1.—, 60 kop. i 30 kop.

poleca: Warsz. Tow. Akc. „MOTOR"

MARSZAŁKOWSKA 23.

33 Chmielna. Pończochy Skarpetki wełniane wyroby własne tylko gwarantowanej trwałości **I. Matuszewski Chmielna 33.**

3-letnie

Kursy Handlowe żeńskie

J. SIEMIRADZKIEJ

(Ś-to Krzyska Nr. 30).

Wyższe wykształcenie handlowe i ekonomiczne. Teoretyczne i praktyczne przygotowanie do pracy zawodowej. Początek wykładów 16-go września.

SKŁAD

firanek, haftów i koronek

E. MIRECKIEJ

Przeniesiony od lipca z Kruczej 46 **w Al. Jerozolimskie 31 m. 3** I piętro tel. 107-31.

KONFEKCYĘ damską i bieliznę, roboty ręczne poleca w wielkim wyborze. Skład nici i galanteryi

J. Janota i S-ka

Marszałkowska 62,

Zlecenia z prowincyi uskutecznia się odwrotną pocztą.

Ukazała się w odbitce nakładem Sekcyi Równouprawnienia Kobiet Polek w Petersburgu powieść Z. Wierzbickiej w tłom. S. Sempołowskiej p. t. **„Nasze Błędy"** i jest do nabycia w Redakcyi i Administracyi „Bluszczu". Cena 60 k. Z przesyłką pocztową 80 kop. z zaliczeniem 10 kop więcej.

Pracownia bielizny

damskiej, męskiej i dziecinnej od najwykwintniejszych.

Wyprawy — — — — — pościel

Emilja Giżycka

№ 8. Chmielna № 8.

(Tanio bo w prywatnem mieszkaniu).

Wejście przez magazyn

W-nej Sabiny Gehrke

Telefon 192-21.

MAGAZYNY KONFEKCYI DAMSKIEJ I DZIECINNEJ

Bronisławy Szyszko

314 Warszawa, Chmielna 37, Telefonu 122-05, Senatorska 6; Tel. 194.40 Elektoralna 43, Tel. 111.07

Poleca: Bluzki, Kostyumy, Suknie, Peniuary, Halki, Matinki, Bieliznę damską, ubranka dziecinne. Mundurki dla pensyonarek, palta, berety itd. Ponadto: Paski, żaboty, pończochy itp. Suknie reformowane. Wykończenie staranne. Punktualność. Ceny przystępne. Zamówienia z prowincyi uskuteczniają się natychmiastowo.

Robactwo domowe tępi tanio. Należność pobiera po 2 miesiącach po wytępieniu. BLAGA ZATEM WYKLUCZONA. Firma egzystuje od 1846 r.

P. Schweid

Nowolipie 50, telef. 174-36.

S. Przeździecki MAZOWIECKA 5. Tel. 241-74.

Poleca w wielkim wyborze ubrania dziecięce i uczniowskie oraz **Nowowprowadzony dział sukienek i kostyumów dla panienek** na każdy wiek.

Robota wykwintna. Ceny umiarkowane.

Wydawnictwa rok XIV.

„Nowości Muzyczne"

Miesięcznik nutowy na fortepian.

W I półroczu zawiera następujące utwory: a) **do śpiewu:** Grossman L. „Krakowiaczek". Pankiewicz E. „A jak ci ja będę na wesele pro-ił. b) **deklamacya z tow. fortep.** Fetter K. „Ranek i wieczór". Sonet A. Mickiewicza. c) **na fortepian:** Barcicki. Polonez kościuszkowski i Marsz ks. Józefa Poniatowskiego. Berlioz H. Taniec sylfów i Marsz węgierski z „Potępienia Fausta". Dworzaczek A. Gawot. Krokiewiczowa A. Pieśń bez słów. Nowakowski J. Cztery Mazurki, op. 19. Piotrowski M. Marche funebre. Polaki M. Mazur konkursowy. Schumann R. Idylla majowa i Melodja ludowa. Skimborowicz H. ks. 2 gi Mazurek i Serenada — Walle. Westh. E. Nokturn i Kołysanka i t. d. **W dodatku literackim:** liczne wiadomości ze świata muzycznego.

Prenumerata rocznie: w Warszawie **5** rb., z przes. poczt. **6** rb., zagranicą **7** rb. Półrocznie i kwartalnie w tym że stosunku. Zeszyt pojedyńczy **60** kop.

Premia dla rocznych abonentów: a) **bezpłatnie** trzy poprzednie zeszyty do wyboru lub portret Chopina i b) **za pół ceny** t. j. za 1 rb. 50 kop. Szkoła na fortepian, op. 50, prof. A. Różyckiego. Porto premium 30 kop.

Adres redakcyi: Warszawa, Krak. Przedm. 6.

Redaktor i wydawca LEON CHOJECKI.

Zakład Wychowawczy dla Dzieci. Dziekanów, wśród lasów sosnowych komunikacya łatwa, blisko Warszawy. Przyjmują się dzieci do lat 8-iu. Informacye udziela Redakcya Tygodnika „Bluszcz" w czwartki.

OSZCZĘDNA GOSPODYNI UŻYWA TYLKO PRAWDZIWEGO ANGIELSKIEGO MYDŁA DO PRANIA.

SUNLIGHT SOAP

MYDŁO „SENLAJT" NIE NISZCZY BIELIZNY I JEST NAJTAŃSZEM w UŻYCIU

ŻĄDAĆ WSZĘDZIE po 25 kop.

CREM CESARZOWEJ EUGENJI.

W oryginalnych tubach z portretem i koroną cesarzowej. Jedyny środek do upiększania skóry. Żądać wszędzie. Cena całej tuby 1 rb., 1/2 tubki 60 kop. Hurtowa sprzedaż **Al. Kupermann,** Zielna 24 telef. 223-30.

Najlepsze mydła udelikatniające skórę są:

Mydła hyg. przetłuszczone

wyrobu Apteki **M. MALINOWSKIEGO**

Nowy-Swiat 35, w Warszawie.

ROBES & CONFECTIONS

ANNE THONNES

VARSOVIE rue Czysta № 2. Téléphone 31-03.

Pracownia Gorsetów

J. Kropiwnickiej Warszawa Chmielna 21 Telefon № 155-89

Nagrodzona na konkursie i Medalami na Wystawie „Hyg.

Specyalny gorsecik nagr. dla pensyonarek.

GORSETY DLA ARTYSTEK. Fasony paryskie.

Perfumeryjne i Kosmetyczne Nowości

Poleca Warsz. Tow. Akc.

Ludwik Spiess i Syn

KURSY PEDAGOGICZNE DLA KOBIET

pod kierunkiem **Jana Miłkowskiego**

w Warszawie ul. Widok 16, tel. 193-94.

Zapisy na r. 1912/13 oraz inform. codzien. od 15 czerwca g. 10—2 oprócz nie dziel i świąt. **Wykłady rozpoczynają się 16 września.**

Magazyn konfekcyi damskiej i dziecinnej

„Bronisława"

Chmielna № 30. — — Telefon № 124-69.

Poleca: Kostyumy, suknie, bluzki, halki, szlafroki, matinki, spódniczki, peniuar suknie reformowane, paltka i szuby, sukienki, garniturki dla chłopców oraz mundurki dla Pensyonarek. Zamówienia z prowincyi wysyła się za zaliczeniem.

PRACOWNIA GORSETÓW

S. Lipskiej w Warszawie, ul. Trębacka Nr. 7.

Telefon 211-28. Wysyłka za zaliczeniem na prowincyę.

SKŁAD KAFLI I PIECÓW GŁADKICH MAJOLIKOWYCH

„HALIS"

Warecka Nr. 14, telefon 46-62.

Dostawa i budowa wszelkich pieców kuchen.

Słynna w całym świecie

HERBATA z gór HARCU

(Dr. Lauer's Harzer Gebirgstee)

Zalecana przez najsłyniejsze powagi lekarskie zatwierdzona przez Depart. Med. przy Min. Spraw Wewn. w Peterburgu jest jednym z najniezbędniejszych środków dla utrzymania zdrowia. Napój ten, przyjmowany w ilości 2-ch — 3-ch filiżanek tygodniowo leczy: wyrzuty, liszaje, uderzenia krwi do głowy, hemoroidy, reumatyzm atretyzm, cirpienia żołądka i t. p. przywraca apetyt i prawidłowe trawienie. Działa skutecznie w wypadkach zapalenia płuc influenzy, choleryny.

Cena pudełka 1 rb., 1/2 pudełka 50 k.

UWAGA. Każde oryginalne pudełko zaopatrzone następującą etykietą: Reprezentant na Królestwo Polskie i Cesarstwo:

JÓZEF GROSSMAN, Warszawa, ZŁOTA № 16, Telefon 184-44.

Zamiejscowym wysyłam za zaliczeniem od rb. 1, z doliczeniem na koszta przysyłki.

Wystrzegać się falsyfikatów i podrabianych etykiet!!

Bryczek jesionowych, wolantów, korsówek „Italjanek" „Józefowek" dwukółek największy wybór. FABRYKA przyjmuje do odnowienia powozy, wyrabia koła i t. d.

J. Jamiołkowski Szpitalna Nr. 10.

Preparat „TRAYSER" przeciw reumatyzmowi i podagrze jest do nabycia we wszystkich Aptekach i Składach Aptecznych Illustrowana broszura z prawidłowym opisem powyżej wspomnianych chorób wysłana zostaje na pierwsze żądanie bezpłatnie. Adresować, M. E. Trayser, № 143. Bangor House, Shoe Lane. London England E. C.

Pierwszorzędne biuro nauczycielskie

Maryi Balińskiej

poleca nauczycielki nauczycieli bony różnych narodowości frebianki z szyciem. Warszawa, Widok 13 telefon 77-34.

Szkoła Modniarstwa

Koncesjonowana za № 2650/5838 z prawami wydawania patent.

Teofili Czarnockiej

Zapis uczennic codziennie.

Wspólna 17.

ODZNACZONE MEDALEM ZŁOTYM skromne **GORSETY** do wykwintnych, paski biodrowe dla dziewcząt zamiast gorsetów

D-rowej Marji Barszczewskiej

Warszawa, plac Św. Aleksandra Nr. 14. Telefon 40-73

wprost stacyi tramwajowej.

Wszystkie środki kosmetyczne zalecone i ogłoszone w „Bluszczu" najkorzystniej nabywać w składzie aptecznym i perfumeryjnym

St. Staniszewski

Warszawa, Krakowskie Przedmieście Nr. 31

(Hotel Saski).

Stefan Habrowski i Antoni Janiak

FRYZJERZY DAMSCY SPECYALIŚCI MANICURE—MASAŻ

WYKWINTNE SALONY DLA DAM.

Ul. Żórawia Nr. 33 m. 20 parter. Telefon Nr. 254-34.

Przyjmujemy zamówienia na czesania w domach i na miejscu. Farbowanie głów na wszystkie kolory, mycie najnowszemi środkami **antyseptycznemi** oraz wszelkie zamówienia z włosów w zakres fryzjerstwa wchodzące. **Czesania miesięczne i abonamentowe.**

CENY KONKURENCYJNE.

Wyuczamy czesać i wszelkich robót fryzjerskich, kurs 3 miesięczny z gwarancyą. Wszelkie zamówienia i obstalunki przyjmujemy telefonicznie. Telefon 254-34.

PODANIA O PRZYJĘCIE

do Prywatnego Seminaryum dla Nauczycieli Ludowych w Ursynowie

wraz z dokumentami (świadectwo szkoły, metryka, świadectwo powtórnego szczepienia ospy: piśmienne zobowiązanie rodziców do regularnego wnoszenia opłaty szkolnej, zaświadczenie 2 osób wiarogodnych co do moralnego prowadzenia się kandydata i krótki własny życiorys) należy nadsyłać przed 15 sierpnia r. b. pod adresem: Warszawa, skrzynka pocztowa № 377.

Kandydaci na kurs I (w wieku od lat 15 do 17) winni się stawić na egzamin w Ursynowie dnia 29 sierpnia o godzinie 10 rano.

Kancelarya Seminaryum wysyła na każde żądanie program i warunki przyjęcia.

KRYSZTAŁ.

Agentura dla sprzedaży produktów

TOWARZYSTWA

B-ci NOBEL

WARSZAWA NIECAŁA Nr. 4.

Telefony 223-20 i 223-40.

SZKOŁA CECHOWA MODNIARSTWA

przy magazynie mód

A. PISTOR Mazowiecka 12

Kurs nauk z zupełnem udoskonaleniem. Wydaje Patenty Cechowe.

Administracya „Bluszczu" wysyła za zaliczeniem rysunki na wszelkie hafty po przedstawieniu motywów.

Redaktorka i wydawczyni: **Zofia Seidlerowa.**

Druk Piotra Laskauera, Warszawa, Nowy-Świat 41